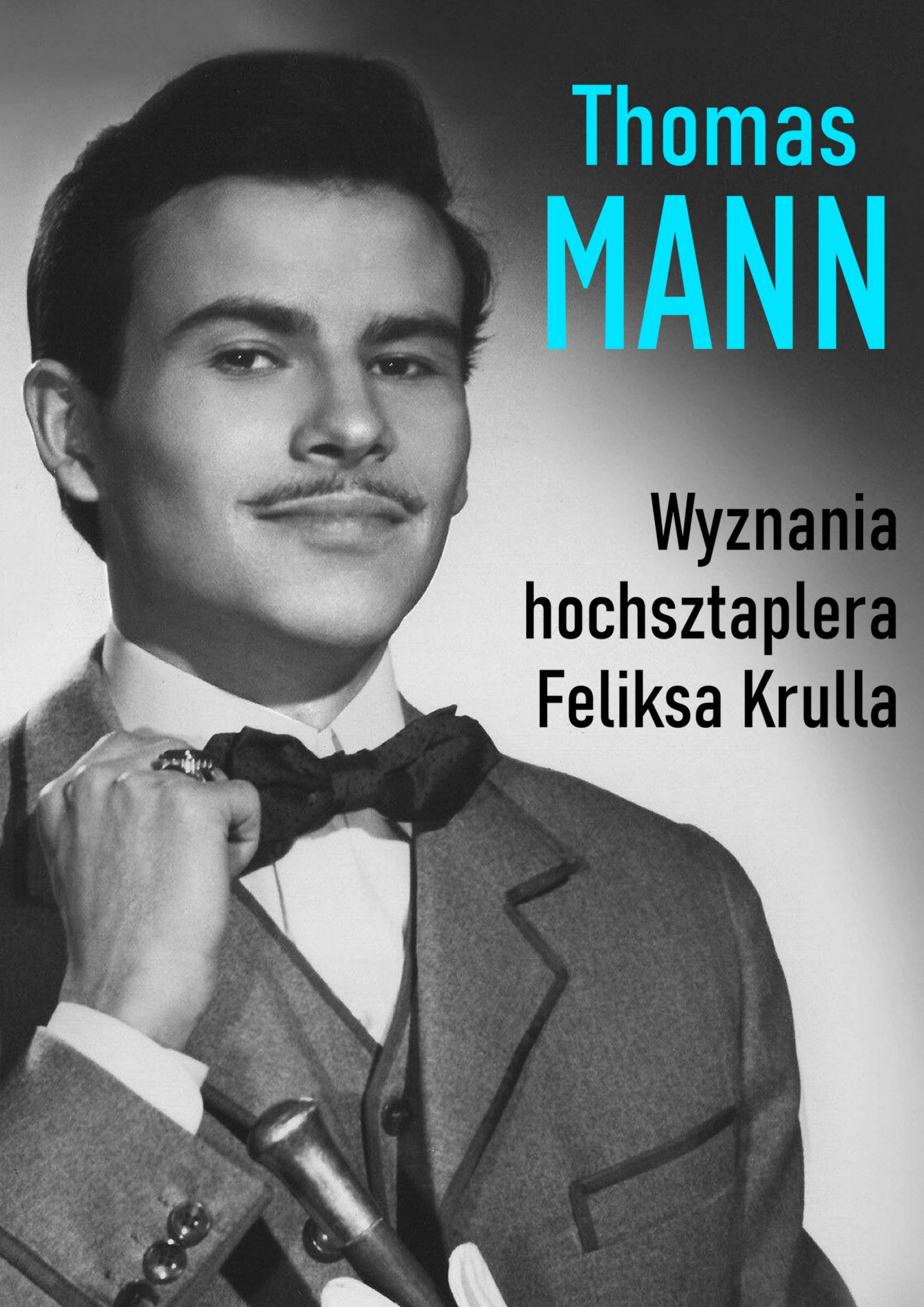




Thomas MANN

Wyznania
hochsztaplera
Feliksa Krulla

Thomas Mann

WYZNANIA HOCHSZTAPLERA FELIKSA KRULLA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68790-43-6

Tłumaczenie: Andrzej Rybicki

Tytuł oryginalny: Bekenntnisse des Hochstaplers Felix Krull

Tekst: PIW, Warszawa (1957)

Od wydawcy: większość słów obcojęzycznych została przetłumaczona na polski

Na okładce: Horst Buchholz w roli Feliksa, fotos z filmu „Bekenntnisse des Hochstaplers Felix Krull“ (1957)

E-book zgodny z Europejskim Aktem Dostępności EAA

SPIS TREŚCI

KSIEGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty

KSIEGA DRUGA

Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty

KSIEGA TRZECIA

Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty

KSIEGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

W chwili gdy ujmuję pióro, aby w niezmaconej swobodzie i odosobnieniu, zdrów zresztą, choć i zmęczony, bardzo zmęczony (tak iż zdołam posuwać się naprzód jedynie krok po kroku i odpoczywając często), gdy zatem sposobie się do tego, aby właściwym mi czystym i przyjemnym pismem przelać na cierpliwy papier moje wyznania, nachodzi mnie przelotna wątpliwość, czy też wykształcenie wyniesione z domu i szkoły pozwoli mi dorosnąć do tego intelektualnego przedsięwzięcia. Z drugiej jednak strony, ponieważ na moją opowieść składają się najbliższe mi i najbardziej osobiste doświadczenia, zbłąkania i namietności, i dzięki temu w pełni panuję nad tematem, mogłaby owa wątpliwość dotyczyć co najwyżej taktu i układności wyrazu, na jakie mnie stać; te zaś zalety nie tyle zależą od nieprzerwanych i chlubnie ukończonych studiów, ile raczej, i to w znacznie wyższym stopniu, od wrodzonego uzdolnienia i poprawnego wychowania w dzieciństwie. Nie brakło mi go, gdyż wywodzę się z wykwintnego, choć i nieco swawolnego mieszczańskiego gniazda; moją siostrą Olimpią i mną opiekowała się przez szereg miesięcy jakaś pannica z Vevey, która musiała potem – rzecz prosta – zejść z pola, ponieważ doszło do kobiecej rywalizacji z moją matką, mianowicie na punkcie ojca; chrzestny zaś ojciec mój, Schimmelpreester, z którym wiązała mnie serdeczna zażyłość, był wielce cenionym artystą, nazywanym przez całe miasteczko „panem profesorem”, chociaż ów piękny i pożądany tytuł formalnie, być może, wcale mu nie przysługiwał; mój ojciec zaś, choć był gruby i tłusty, miał wiele osobistego wdzięku i zawsze bacznie zważał na wyszukany i przejrzysty styl mowy. Miał po babce w żyłach trochę krwi francuskiej, lata nauki spędził we Francji, i jak zapewniał, znał Paryż jak własną kieszeń. Chętnie ubarwiał swą mowę zwrotami takimi, jak „dokładnie tak”, „niesamowicie” albo „doskonale” – i do końca życia pozostał ulubieńcem kobiet. Ale na razie wspominam o tym tylko mimochodem. Co się zaś tyczy mego wrodzonego talentu do zachowywania poprawnych form, mogłem z góry być go aż nadto pewny, jak tego dowodzi cały mój oszukańczy żywot; wierzę też, że bez zastrzeżeń wolno mi polegać na nim i przy niniejszym występie pisarskim. Postanowiłem zresztą stosować w swych zapiskach jak najdalej posuniętą otwartość, nie lękając się ani zarzutu, żem pyszałek, ani posądzenia o bezwstydy. Jakąż wartość moralną i jaki moralny sens można by przypisać wyznaniom zrodzonym pod innym słońcem niż słońce prawdy!

Wydała mnie na świat ziemia Rheingau, ów błogosławiony zakątek, łagodny, wolny od szorstkich kaprysów pogody i wrogich człowiekowi właściwości gleby, usiany gęsto miastami i wioskami, pełen wesołych ludzi – jeden z najmiłszych zaludnionych skrawków ziemi. Osłonięte przed surowymi wichrami nadreńskim łańcuchem górskim i rozpostarte pod promienny blask południowego słońca rozkwitają tu owe sławetne osiedla o nazwach, na których sam dźwięk śmieje się serce pijusa: tu Rauenthal, Johannisberg, Rüdesheim, a oto też czcigodna miejscina, w której ujrzałem światło dzienne w niewiele lat po pełnym chwały założeniu Cesarstwa niemieckiego. Osiedle to, położone nieco na zachód od kolana, jakie tworzy Ren w pobliżu Moguncji, a słynne swymi wytwórniami win, stanowi główną przystań dla parowców płynących w górę i dół rzeki; mieszkańców liczy mniej więcej cztery tysiące. Nader blisko była więc wesoła Moguncja, a także wytworne kąpieliska w paśmie Taunus, jak Wiesbaden, Homburg, Langenschwalbach i Schlangenbad; do ostatniego z nich można było dojechać kolejką wąskotorową w ciągu pół godziny. Jakże często w miesiącach pięknej pogody urządzaliśmy, rodzice moi, moja siostra Olimpia i ja, wycieczki statkiem, powozem lub koleją, i to we wszystkich kierunkach: wszędzie bowiem nęciły nas powaby i osobiwości, stworzone przez przyrodę i ludzką wynalazczość. Widzę jeszcze mego ojca, jak

w wygodnym ubraniu letnim w drobną kratę siedzi z nami w jakimś restauracyjnym ogródku – nieco z dala od stołu, gdyż brzuch przeszkadzał mu przysunąć się bliżej – i z nieskończoną błogością zajada potrawę z raków, popijając złocistym winnym sokiem. Nierzadko bywał także z nami mój chrzestny ojciec Schimmelpreester; bystro i badawczo spozierał przez swe okrągłe okulary malarza na ludzi i świat, wchłaniając w swą duszę artysty wszystko, i to, co wielkie, i to, co małe.

Biedny mój ojciec był właścicielem firmy Engelbert Krull, wytwarzającej wino musujące Lorley Extra Cuvée, którego sława niestety mocno już podupadła. W dole nad Renem, opodal przystani, mieściły się składy firmy i nierzadko uganiałem jako chłopak po chłodnej przestrzeni piwnicznej lub zamyślony wałęsałem się kamiennymi korytarzami wiodącymi wzdłuż i wszerz pośród wysokich rusztowań i przyglądałem się armiom butelek, lekko ukośnie ułożonych tam warstwami jedna nad drugą. „Leżycie tutaj – myślałem sobie, jakkolwiek nie umiałem jeszcze, rzecz prosta, nadać swym myślom tak trafnego wyrazu – leżycie tu w podziemnym półmroku, a w waszym wnętrzu klaruje się w cichości i wzbiera ów szczypiący, złocisty sok, który przyspieszy uderzenia niejednego serca i niejedną parę oczu rozbudzi do żywszego lśnienia! Jeszcze wyglądacie bezbarwnie i niepozornie, ale oto pewnego dnia wzniesiecie się, przystrojone wspaniale, w wyższy świat, aby w czasie uroczystych przyjęć na weselach czy w oddzielnych gabinetach restauracyjnych miotać w sufit wasze korki z zuchwałym trzaskiem i szerzyć wśród ludzi upojenie, rozkosz i lekkomyślność.” Tak lub prawie tak mówił do siebie chłopiec; było w tym tyle przynajmniej słuszności, że firma Engelbert Krull kładła niezwykle nacisk na wygląd zewnętrzny swych butli, na owo ostateczne ich przystrojenie, które w zawodowej gwarze nazywano koafiurą. Wtłoczone korki przytrzymywał drut srebrny, przeplatany połączanymi nitkami, a purpurowy lak pieczętował je od góry; co więcej, na złotym sznurze zwiśla jeszcze uroczysta okrągła pieczęć, z rodzaju tych, jakie widnieją na bullach i dawnych dokumentach państwowych; szyjki przystrajała bogato lśniąca cynfolia, na brzuchach zaś flasz pyszniła się złocistymi esami-floresami nalepka skomponowana dla firmy, dzieło mego ojca chrzestnego, Schimmelpreestera, na której obok roju gwiazd i herbów, tuż przy podpisie mego ojca i wydrukowanej złotą barwą marce fabrycznej Lorley Extra Cuvée, jawiła się postać kobieca, strojna tylko szpilami i naszyjnikami, która na czubku skały siedząc i udo założywszy na udo, a ramię podniósłszy wzwyż, czesała grzebieniem swe faliste włosy. Zdaje mi się zresztą, że jakość wina niezupełnie odpowiadała tym olśniewającym ozdobom. „Krullu – mawiał zapewne do ojca chrzestny mój, Schimmelpreester – szanuję pańską osobę, ale pańskiego szampana powinna by zabronić policja. Przed tygodniem uległem pokusie wychylenia pół butelczyny i jeszcze do dziś dnia nie otrząsnąłem się z tego całkowicie. Jakąż to drętwość, wyznaj no pan, domieszałeś do tej cieczy? Była to nafta czy fuzel? Krótko mówiąc, truje pan ludzi, drzyj więc przed prawem!” Słyszac to mój biedny ojciec popadał w zakłopotanie, albowiem człek był z niego miękki, na ostre słowa nieodporny. „Łatwo panu drwić, Schimmelpreester – odpowiadał niepewnie, gładząc z przyzwyczajenia koniuszkami palców leciutko swój brzuch – muszę jednak produkować tanio, każe tak przesąd, niechętny wytworom krajowym: krótko mówiąc, dostarczam klienteli tego, w co ona wierzy. Poza tym, drogi przyjacielu, konkurencja siedzi mi na karku, sytuacja staje się wprost nie do zniesienia.” Tyle o moim ojcu.

Nasza willa była jedną z owych uroczych pańskich siedzib, które tuląc się do łagodnych pochyłości panują nad widokiem reńskiego pobraża. Opadający dość stromo ogród zdobiły obficie karły, grzyby i liczne inne stwory, do złudzenia podrobione z fajansu; na cokole spoczywała jasna jak zwierciadło kula szklana, wykrzywająca nader zabawnie twarze; a była tam również harfa eolska, liczne groty i fontanna rzucająca w powietrze wymyślną grę wodnych promieni, z sadzawką, w której pływały złote rybki. Aby zaś rzec coś niecoś o domowym wnętrzu, było ono zgodnie z upodobaniem mego ojca zarówno sposobne

ku rozmowie, jak i wesołe. Fotele w zacisznych wykuszach zapraszały, aby usiąść, a w jednym z tych wgłębień stał nawet prawdziwy kołowrotek. Niezliczone drobiazgi: świecidła, muszle, błyszczące szkatułki i flakony z pachnidłami, poustawiano na półeczkach i stolikach pluszowych; mnóstwo poduszek puchowych powleczonej jedwabiem lub wielobarwną wyszywanką leżało, gdzie spojrzeć, na sofach i tapczanach, gdyż ojciec mój lubił wylegiwać się miękko; portiery wisiały na halabardach, w obramieniach zaś drzwi rozpięto owe powiewne zasłony z trzciny i pstrych paciorków, które tworzą na pozór zwartą ścianę, można je jednak przekroczyć nie podnosząc ręki, przy czym rozsuwają się z cichym szmerem lub chrzęstem i w tejże chwili ponownie zwierają. U frontowych drzwi umieszczono mały, pomysłowy przyrząd, grający cichutkimi dzwoneczkami początek pieśni *Radujcie się życiem*, w czasie gdy powstrzymywane pneumatycznie drzwi powoli zapadały w zamek.

Rozdział drugi

Taki oto był dom, w którym pewnego ciepłego, dżdżystego dnia – a maj to był, miesiąc rozkoszy! – pewnej, dla dokładności, niedzieli przyszedłem na świat. Od chwili tej nie zamierzam już wybiegać naprzód, trzymając się raczej starannie następstwa czasowego. Narodziny moje dokonały się, o ile mnie o tym trafnie powiadomiono, wielce powolnie i nie bez sztucznej pomocy naszego ówczesnego lekarza domowego, doktora Mecum, a to głównie dlatego, że ja sam – o ile słowem „ja” wolno mi oznaczyć ową młodziuchną i obcą istotę – zachowałem się przy tym fakcie wyjątkowo beczynnie i niespołecznie, nie wspomagając prawie zupełnie usiłowań mojej matki i nie okazując najmniejszej gorliwości, by dostać się na ów świat, który miałem potem pokochać tak namiętnie. Mimo to byłem zdrowym, dobrze zbudowanym dzieckiem i rosłem jak najbardziej obiecująco przy piersi wybornej niani. Nie mogę jednak, po wielokrotnym i wnikliwym namyśle, nie wiązać swego opieszałego i niechętnego zachowania się przy narodzeniu, tego jawnego wprost wstrętu do zamienienia mroków matczynego łona na jasność dzienną – z niepowszednią skłonnością i talentem do snu, znamiennymi dla mnie od maleńkości. Opowiadano mi, że byłem dzieckiem spokojnym, żadnym krzykaczem i wichrzycielem, lecz raczej zwolennikiem snu i półsnu, w stopniu nader wygodnym dla piastunek; a jakkolwiek ogarnąć mnie miało później tak potężne pożądanie świata i ludzi, żem mieszał się niejednokrotnie w ich ciżbę pod rozmaitymi nazwiskami i wiele czynił, aby pozyskać ich dla siebie, to przecież noc i sen pozostały mi nadal ojczyzną najmiłszą i nawet bez cielesnego zmęczenia zasypiałem łatwo i chętnie, zatracając się głęboko w zapomnieniu wolnym od widziadeł i budziłem po przebyciu długiej, dziesięcio-, dwunasto-, a nawet i czternastogodzinnej otchłani sennej orzeźwiony i bardziej zaspokojony, niż mogły to sprawić powodzenia i radości, jakie niósł z sobą dzień. Można by dopatrywać się w tej niezwyklej śpiączce sprzeczności z ożywiającym mnie potężnym pędem życiowym i miłosnym, o którym w odpowiednim miejscu będzie jeszcze mowa; co prawda, napomknąłem już, żem temu zagadnieniu poświęcił niejedno usilne rozmyślanie, a wiele razy zdawałem się pojmować wyraźnie, że zachodzi tu nie przeciwieństwo, lecz raczej ukryta łączność i zgodność. Teraz mianowicie, gdy – choć dopiero po czterdziestce – jestem już postarzały i znużony, gdy nie pcha mnie już ku ludziom żadne pożądanie i wlokę swój żywot wycofawszy się całkowicie w głąb samego siebie, teraz dopiero odrętwiała również moja wydolność senna, teraz dopiero stałem się poniekąd wygnańcem z krainy snu; zacząłem sypiać krótko, płytko i przelotnie, podczas gdy ongiś w więzieniu, gdzie nie brakło po temu sposobności, wysypiałem się, bywało, jeszcze lepiej niż w mięciutkich łóżach „Palast-hotelu”. – Ale popadam znowu w stary nałóg wyprzedzania zdarzeń.

Słyszałem często z ust swej rodziny, że jestem dzieckiem niedzielnym, i jakkolwiek wychowano mnie z dala od wszelkich zabobonów, przecież przypisywałem zawsze

tajemnicze znaczenie tej właśnie sprawie, podobnie jak i swemu imieniu: Feliks (nazwano mnie tak po moim chrzestnym ojcu, Schimmelpreesterze), oraz delikatności i powabom swego ciała. Tak, wiara w moje szczęście i w to, że jestem beniaminkiem nieba, żyła zawsze w najgłębszym mym wnętrzu i mogę upewnić, że na ogół w wierze tej nie doznałem zawodu. Bo też znamioną osobliwością mego życia okazuje się to, że wszystkie cierpienia i udręki zjawiały się w nim jako coś obcego i nie zamierzonego pierwotnie przez Opatrzność, i stale przebijała przez nie niezmienna słoneczność mego właściwego przeznaczenia. Po tym manowcu, odwołującym w stronę zagadnień ogólnych, dalej w grubych zarysach odmalowuję obraz swej młodości.

Jako dziecko o nader żywej wyobraźni, przysparzałem współdomownikom niezwykle pomysłami i urojeniami wiele powodów do wesołości. Zdaje mi się, że przypominam sobie wyraźnie, co też często mi opowiadano, że nosząc jeszcze dziecienną sukienkę odgrywałem chętnie rolę cesarza i że przez wiele godzin trwałem nader uporczywie w tym złudzeniu. Siedząc w małym wózku, w którym moja piastunka toczyła mnie po podwórzu lub po ogrodowych ścieżkach, na widok byle czego wykrzywałem usta, ile się tylko dało, ku dołowi, tak że moja górna warga rozciągała się niepomiarowo, i łypałem powoli oczyma, które wnet czerwieniły się i napęniały łzami, nie tylko na skutek zezowania, lecz również pod wpływem mego wewnętrznego wzruszenia. Milczący i przejęty swą sędziwością oraz wysokim swym dostojęstwem, siedziałem w wózeku; natomiast moja niania miała obowiązek powiadamiania każdego napotkanego przechodnia o tym, co się tutaj dzieje, ponieważ zlekceważenie mego kaprysu rozgoryczyłoby mnie do ostateczności. „Wiozę tu oto cesarza na spacer” – oznajmiała służbiście, salutując nieumiejętnie rozpostartą ręką, a każdy okazywał mi dworną cześć. Zwłaszcza mój chrzestny ojciec, Schimmelpreester, zawsze skory do psot, nagiął się przy takich spotkaniach do mych uroszczeń i umacniał mnie, ile się tylko dało, w moich kapryśnych marzeniach. „Patrzcie, oto jedzie bohaterski starzec” – mawiał gnąc się w niepomiarowo głębokim ukłonie. A potem, grając rolę ludu, zastępował mi drogę i z okrzykiem: „Niech żyje!”, podrzucał wysoko swój kapelusz, laskę, a nawet okulary po to, by naśmiać się prawie do utraty zdrowia na widok łez spływających mi po rozciągniętej w zachwycie górnej wardze.

Takie igraszki uprawiałem jeszcze i w późniejszych latach chłopięcych, w okresie zatem, w którym, rzecz prosta, nie mogłem już wymagać współdziałania osób dorosłych. Mimo to nie poniechałem owych urojeń, radując się raczej niezależnością i samowystarczalnością mej wyobraźni. Budziłem się na przykład pewnego rana z postanowieniem, że będę dzisiaj osiemnastoletnim księciem Karolem, i z całej mocy przywierałem do tego marzenia na cały dzień, a nawet na przeciąg kilku dni; nieoceniona bowiem zaleta takiej zabawy polegała na tym, że nie musiał jej przerywać ani na chwilę, nawet w czasie niezmiernie uciążliwych godzin nauki szkolnej. Przybierając ton jakiejś łaskawej i uprzejmej wyniosłości chadzałem tu i tam, odbywałem ożywione i wesołe rozmowy z którymś z ministrów czy adiutantem, którego mocą wyobraźni przydałem swej osobie, a nikt nie opisze dumy i szczęścia, jakimi napęniała mnie tajemnica mojej wytwornej i dostojnej egzystencji. Jakimże wspaniałym darem jest fantazja i jakiej może użyć rozkoszy! Jak głupimi i upośledzonymi wydawali mi się inni chłopcy w naszym miasteczku, którzy najwidoczniej nie zaznali owej potęgi, nie mieli zatem udziału w tajemnych radościach, jakiem ja z niej sęczył bez trudu, bez zewnętrznych przygotowań, prostym aktem woli! Co prawda, tym pospolitym chłopczyskom o druciastych włosach i czerwonych łapach głupio i śmiesznie by z tym było do twarzy, gdyby zechcieli sobie uroić, że są książętami. Ja natomiast miałem włosy jedwabisto miękkie, nader rzadko spotykane u płci męskiej, a przy tym blond, co w połączeniu z szaroniebieską barwą oczu kontrastowało czarująco z złotawą śniadością mej cery: tak że trudno było poniekąd rozstrzygnąć na pierwszy rzut oka, czym właściwie jestem, blondynem czy brunetem, i z równym prawem można było brać mnie za

jednego i drugiego. Moje ręce, które wcześniej zacząłem pielęgnować, były, nie grzesząc nadmierną wąskością, miłe w zarysie, nigdy nie spotniałe, lecz w miarę ciepłe, suche, kończyły się paznokciami o ładnym wykroju – na same te ręce przyjemnie było spojrzeć. Mój głos dźwięczał już przed mutacją mile jakoś i pieszczotliwie dla ucha, toteż, będąc sam ze sobą w owych szczęśliwych gawędach z niewidzialnym ministrem, pełnych przesadnych min, bezmyślnego pytlowania i udanych aluzji, pozwalałem mu rozbrzmiewać do woli. Na takie zalety osobiste najczęściej się nie zważa, ocenić je można dopiero w skutkach i nawet przy niepospolitej wymowie trudno je zamknąć w słowa. W każdym bądź razie nie mogło utaić się przede mną, że powstałem z szlachetniejszego tworzywa lub też, jak to się mówi, że ulepiony jestem z lepszej gliny niż moi bliźni – wcale przy tym nie boję się zarzutu zarozumiałości. Całkiem mi obojętne, czy ten lub ów oskarży mnie o błogie zadowolenie z siebie, musiałbym bowiem być głupcem lub obłudnikiem, gdybym chciał uchodzić za twór tuzinkowy; zgódnie też z prawdą powtarzam, żem z lepszej ulepiony jest gliny.

Wzrastając samotnie (gdyż moja siostra Olimpia wyprzedziła mnie o dobrych kilka lat) odczuwałem skłonność do niezwykłych pomysłów i zajęć – przytoczę zaraz dwa przykłady. Po pierwsze, wpadłem na kapryśną i dziwaczną myśl, aby ćwiczyć i poznawać na sobie siłę ludzkiej woli, owej potęgi tajemniczej i często zdolnej do niemal nadprzyrodzonego działania. Wiadomo, że nasze źrenice zależą pod względem ruchów swych, polegających na zwężaniu się lub rozszerzaniu, od natężenia padającego na nie światła. Otóż wbiłem sobie w głowę, aby nagiąć pod wpływ swej woli ów mimowolny odruch samoczynnych mięśni. Stojąc przed zwierciadłem i starając się o wyłączenie wszelkiej innej myśli, skupiałem całą moc wewnętrzną w dawany swym źrenicom rozkaz, aby kurczyły się lub rozszerzały wedle mojego upodobania; upewniam, że uporczywe te próby uwieńczył niezłudny skutek. Pod wpływem wysiłków wewnętrznych, zraszających me skronie potem i przyprawiających mnie na przemian o bladłość, to znowu o rumieniec, moje źrenice zaczynały zrazu nierównomiernie tylko drgać; potem posiadałem jednak istotną władzę zwężania ich w drobniutkie punkciki albo też rozszerzania w duże, czarne, błyszczące kręgi; zadowoleniu, jakie sprawiło mi to osiągnięcie, towarzyszyło uczucie bliskie przerażenia i jakby dreszcz trwogi na widok tajemnic ludzkiej natury.

Inna znowu zagadka zaprzętała wówczas i bawiła nieraz mój umysł i do dziś dnia nie utraciła dla mnie uroku i sensu. Oto, na czym polegała. „Co jest pożyteczniejsze – pytałem sam siebie – widzieć świat małym czy wielkim?” Tkwiła zaś w tym następująca myśl: wielu ludzi, dumałem, wodzowie naczelni wojsk, suwerenne głowy państw, zdobywcy i władcy wszelkiego pokroju, wyniesieni przemocą nad pospólstwo, muszą już tak być stworzeni przez naturę, że świat wydaje im się mały jak szachownica; inaczej zabrakłoby im bezwzględności i zimnej krwi, niezbędnej do tego, aby rządzić światem zuchwale, wedle z góry powziętych planów, nie zważając na dobro lub krzywdę jednostki. Z drugiej jednak strony, może taki zacieśniający pogląd łatwo i niechybnie sprawić, że się w życiu w ogóle niczego nie osiągnie; kto bowiem ma świat i ludzi za hetkę-pentelkę albo też za nic zgoła i kto przepoi się wcześniej poczuciem ich nieważności, ten będzie skłonny ugrzęznąć w zobojętnieniu i gnuśności oraz przekładać wzgardliwie absolutny bezruch nad jakiegokolwiek oddziaływanie na umysły; pomijając już, że człowiek taki będzie na każdym kroku – z powodu swej nieczułości, niespołecznej postawy i niechęci do trudzenia się czymkolwiek – gorszył wszystkich i każdym swym postępkim obrażał świadomy swej wartości świat, a tym samym odetnie sobie drogę do sukcesów, choćby mimowolnych. „Czyż przeto – pytałem sam siebie – jest bardziej wskazane widzieć w świecie i w ludzkiej istocie coś wielkiego, wspaniałego i ważnego, coś, co zasługuje na największe starania i zabiegi, by pozyskać stąd odrobinę czci i poważania?” Przeciwno temu przemawia względ na to, że łatwo przez ów wyolbrzymiający i korny sposób patrzenia popaść w niedocenianie siebie i poczucie niższości i świat przejdzie wówczas ze śmiechem nad czołobitnie głupawym chłopczyną, aby poszukać sobie bardziej

męskich kochanków. A przecież, patrząc na to z jeszcze innej strony, łatwo dostrzec w podobnie nabożnej wierze w świat również wielkie korzyści. Kto bowiem przyznaje pełnię znaczenia wszystkiemu i wszystkim, ten nie tylko ludziom przez to pochlebi, zapewniając sobie ich poparcie, lecz również przepoi wszelką swą myśl i całe zachowanie taką powagą, żarem i odpowiedzialnością, że stając się przez to sam miły i poważny, dojdzie do najwyższych osiągnięć i sukcesów. Tak oto rozmyślałem ważąc „za” i „przeciw”. Co prawda, stałem bezwiednie i zgodnie z moją naturą zawsze po stronie drugiej możliwości, uważając świat za zjawisko wielkie i nieskończenie ponętne, hojnie darzące swą słodyczą i szczęściem; wydawało mi się ono wielce godne wszelkich wysiłków i starań.

Rozdział trzeci

Gdy jednak takie eksperymenty i marzycielskie przemyśliwania sprzyjały memu duchowemu odgrodzeniu od rówieśników z miasta i kolegów szkolnych, spędzających czas w sposób bardziej utarty, na dobitek doszło jeszcze i to, że jak rychłom to zauważyć musiał, chłopców tych, będących synalkami urzędników lub właścicieli winnic, ostrzegli przede mną ich rodzice i trzymali ode mnie z daleka; co więcej, jeden z nich, któremu dla próby zaprosił, odrzekł mi bezwstydnie prosto w twarz, że zabroniono mu przestawać ze mną i odwiedzać nasz dom, ponieważ dzieją się u nas nieładne rzeczy. Zabolało mnie to i kazało pragnąć tej znajomości, do której bym zresztą żadnej nie przykładął wagi. Skądinąd trudno było zaprzeczyć, że w opinii miasteczka o życiu naszego domu tkwiła pewna słuszność.

Napomknąłem już o zakłóceniach wywołanych w naszym życiu rodzinnym przez obecność pannicy z Vevey. Istotnie, biedny mój ojciec dybał na tę dziewczynę w sensie miłosnym i dopiął też, zdaje się, wytkniętego celu, ale na tym tle wynikły między nim a matką różnice zdań, czego znowu dalszym następstwem było to, że ojciec mój udał się na kilka tygodni do Moguncji, aby wieść tam żywot kawalerski, jak to niejednokrotnie zwykł był czynić dla odświeżenia się. Moja matka, niepozorna kobiecina, nie wybijająca się darami ducha, postępowała zresztą jak najniesprawiedliwiej odnosząc się tak niewyrozumiale do mego biednego ojca, gdyż ona sama, jak również moja siostra Olimpia (stworzenie grubachne i usposobione niezwykle cielesnie, występowała potem, nie bez powodzenia, na deskach operetkowej sceny) ani trochę nie ustępowały głowie domu pod względem ludzkich słabostek; z tą tylko różnicą, że w jego płochym życiu tkwił zawsze pewien wdzięk, którego niemal zupełnie nie było w ich tępej żądzy przyjemności. Matka i córka odnosiły się do siebie z rzadko spotykaną zażyłością; przypominam sobie na przykład, że był świadkiem tego, jak starsza z nich mierzyła centymetrem obwód uda młodszej, co nastroiło mnie do wielogodzinnego rozmyślenia. Innym razem, w czasie gdy miałem już wprowadzić dla podobnych spraw jakieś pełne przeczuć zrozumienie, choć nie umiałem jeszcze sformułować ich w słowach, byłem potajemnie świadkiem, jak obie zgodnie nastawały uwodzicielskimi muśnięciami na zatrudnionego w domu czeladnika malarskiego, ciemnookiego wyrostka w białej kurcie roboczej, i tak go wreszcie rozgorączkowały, że młodzik popadł w istny szał i w wąsach z zielonej olejnej farby, wysmarowanych ich rączynami na własnej gębie, ścigał piszczące niewiasty aż na sam strych.

Ponieważ rodzice nudzili się z sobą rozpaczliwie, przyjmowaliśmy bardzo często gości z Wiesbaden i Moguncji, a wtedy bywało u nas bardzo hucznie i wesoło. Na zjeżdżające się do nas różnobarwne towarzystwo składało się paru młodych fabrykantów, garść artystów scenicznych obu płci, dalej pewien chorowity porucznik piechoty, który z czasem posunął się aż do starań o rękę mojej siostry, dalej jeszcze pewien żydowski bankier z żoną, która w szokujący całe otoczenie sposób przelewała się na wszystkie strony z brzegów swej iskrzącej się świecidłami sukni, potem dziennikarz jakiś w aksamitnej kamizelce i z puklem włosów

nasuniętym na czoło, wprowadzający w nasz dom za każdym razem nową towarzyszkę życia, i sporo innych jeszcze postaci. Zbierano się na obiad najczęściej o godzinie siódmej, a potem wesoły gwar, dźwięki fortepianu i szurgot nóg w tańcu, i śmiech, i pisk, i wrzask ciągnęły się zazwyczaj przez noc całą. Zwłaszcza w porze karnawału i winobrania temperatura zabawy podnosiła się nader wysoko. Mój ojciec własnoręcznie zapalał wówczas wspaniałe ognie sztuczne w ogrodzie, wykazywał zaś w tym wybitne znanstwo i zręczność; fajansowe karły jawiły się w czarodziejskim świetle, a krotochwilne maski, w jakie przybierało się towarzystwo, zwiększały jeszcze miarę rozbrykanego szaleństwa. Podlegałem w tych właśnie czasach przymusowi uczęszczania do miejskiego gimnazjum realnego; gdym o godzinie siódmej lub pół do ósmej rano wkraczał z świeżo umytą twarzą do jadalni, aby przełknąć śniadanie, zastawałem tam jeszcze całe towarzystwo – wyblakłe, zmięte, mrużące boleśnie oczy w świetle dziennym – skupione przy kawie i likierach; z głośnym okrzykiem powitalnym wciągano mnie do środka.

Osiągnąwszy wiek подростка uzyskałem na równi z moją siostrą Olimpią prawo udziału w przyjęciach i towarzyszących im rozrywkach. Jadano u nas co dzień wyśmienicie, a mój ojciec pijał zawsze przy obiedzie szampana rozcieńczonego wodą sodową. Ale przy towarzyskich zebraniach wydłużała się jeszcze lista potraw, przyrządzanych jak najwymyślniej przez kuchmistrza z Wiesbaden i naszą kucharkę, a przeplatanych daniami orzeźwiającymi oraz pobudzającymi apetyt, mrożonymi i o ostrych przyprawach. Lorley Extra Cuvée płynęło strumieniami, ale podawano do stołu również i liczne dobre wina, na przykład wino Berncastler Doktor, którego korzenny aromat odpowiadał mi wyjątkowo. W ciągu późniejszego swego życia poznałem i przywykłem z niedbałą miną zamawiać inne jeszcze, wybredniejsze gatunki win, nawet tak wytworne jak Grand Vin Château Margaux lub Grand Crû Château Mouton Rothschild.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI